

Relacja z Tunezji

28 lutego 2011

Gdy w Polsce trwają ostatnie przygotowania do Świąt Bożego Narodzenia i każdy, ogarnięty szaleństwem zakupów i myślą o idealnie spędzonych chwilach z bliskimi, oblega kolejne centra handlowe w poszukiwaniu prezentów i choinki, staram się także uszykować wszystko tak, jak zaplanowałam, ale bynajmniej nie na nadchodzące święta. Pakuję plecak i wyjeżdżam do Tunezji – kraju, który stał się moim drugim domem. Ląduję tam 23 grudnia.

Wita mnie czyste niebo i ciepłe, grudniowe słońce. Spędzam noc w Tunisie i już następnego dnia wyruszam samochodem w podróż na południe kraju. Mijam Kairouan – miasto, w którym został zbudowany pierwszy meczet w Afryce Północnej w 7 w. n. e. i zmierzamy w stronę centralnej części Tunezji. Jak na tunezyjskie standardy droga jest długa, dlatego też po jakimś czasie zatrzymuję się w przydrożnej kawiarni w okolicach Sidi Bouzid. Zamawiam miętową herbatę i rozglądam się wokół siebie. Nawet jak na prowincję, cisza jest zastanawiająca. To nie jest ten rodzaj ciszy, która koi nerwy i daje odczuć spokój – coś, co pokochali turyści z całego świata, przyjeżdżający tu na wakacje. Pytam się sprzedawcy w kiosku, potem przypadkowego przechodnia, czy wszystko w porządku. Pytania te nie dziwią – tego mianowicie wymaga kultura języka arabskiego. Odpowiedzi są takie, jakie oczekiwałam – zdawkowe hamdullah labes (dzięki Bogu, wszystko dobrze). Tylko te uciekające spojrzenia i niechęć do dłuższej wymiany zdań pozostawiają ślad w pamięci. Spędzam dzień w bajecznym Tozeur, spacerując po oazach i targach. Następnie wybieram się na Międzynarodowy Festiwal Sahary w Douz.

Dochodzą mnie słuchy o zamieszkach w państwie. Nic konkretnego, echa, jak się wydaje, lokalnych wydarzeń. Kolejnego dnia jadę do mojego ostatecznego celu – Tataouin. Dopiero tutaj słyszę o rozrastających się niepokojach i

protestach w Tunezji. Uświadamiam sobie, że przejeżdżając przez poszczególne miejscowości, omijały mnie kolejne demonstracje. Dlaczego nikt o nich nie mówił? Dlaczego nic nie wspominała prasa ani telewizja? Odpowiedź przychodzi szybciej niż można było się spodziewać, ponieważ prezydent postanawia przemówić pierwszy raz od dłuższego czasu.

Podczas swojej przemowy Zine El Abidine Ben Ali mówi stanowczym głosem i sprawia wrażenie bardzo pewnego swych racji. Potępia akty wandalizmu i agresji. Nie kryje oburzenia, które czuje wobec obywateli, dewastujących własną ojczyznę. Nawołuje do zaprzestania nieodpowiedzialnych działań i bycia posłusznym wobec prawa. Jego prawa.

Jednak wystąpienie głowy państwa nie osiąga zamierzonego celu. Zamieszki zyskują na sile każdego dnia i zaczyna być o nich głośno, mimo że tunezyjskie media nie podają informacji na ich temat. To ogólnoarabski kanał informacyjny Al Dżazira staje się głównym źródłem nowości na temat własnego kraju dla Tunezyjczyków.

Od samego początku, czyli 17 grudnia, gdy bezrobotny absolwent informatyki w mieście Sidi Bouzid, po odebraniu mu wózka z warzywami i owocami – jego jedynej możliwości na zarobek, idzie pod Urząd Miasta i w geście protestu i rozpaczony dokonuje samospalenia, Al Dżazira informuje o niepokojach. Władza blokuje stronę internetową kanału, lecz to już nie pomaga w utrzymaniu status quo. Po tragicznym czynie młodego człowieka wybucha bunt ludności przeciw bezrobociu i brak perspektyw na jakiegokolwiek zmiany; przeciw marazmowi, któremu winna jest panująca od lat partia; przeciw korupcji i nepotyzmowi.

Zamieszki rozprzestrzeniają się w szybkim tempie i ogarniają główne miasta. Policja tłumi je brutalnie, używając pałek i gazu łzawiącego. Dochodzą wiadomości o użyciu broni palnej i pierwszych ofiarach. Jeśli dotąd władza miała nadzieje na zahamowanie buntu, zostaje ona utracona wraz z zabitymi demonstrantami. Gniew, który narasta wśród ludzi od lat,

wybucho z niesamowitą siłą z powodu rozlewu krwi. Pogrzeby są wyprawiane dla męczenników, którzy zginęli w słusznej sprawie, zaś pochody za trumnami ciągną się ulicami.

Młodzi ludzie organizują się za pomocą portalu społecznościowego Facebook. Tam można znaleźć nagrania z demonstracji oraz komentarze o możliwej przyszłości rozrastającego się buntu. Ponadto, właśnie z Facebooku można dowiedzieć się o godzinie i miejscu rozpoczęcia demonstracji w danym mieście. Służy to obu stronom – zwolennikom i policji, która staje się coraz bardziej brutalna.

2 stycznia wjeżdżam do Tunisu. Życie toczy się swoim rytmem – dzieci idą do szkoły, dorośli spieszą do pracy. Jednak w powietrzu czuje się napięcie. Ludzie czekają. Na głównej ulicy stolicy przechadza się więcej policji niż zazwyczaj. Pod cieniem drzew stoją dwa charakterystyczne samochody przystosowane do krwiodawstwa. Dzień wcześniej na Facebooku można było obejrzeć wezwania do oddawania krwi na rzecz rannych podczas demonstracji. Zamieszki są bowiem tajemnicą Poliszynela.

13 stycznia w niedzielne popołudnie planuje się na portalu protest w samym sercu Tunisu. Idę tam bez przekonania. Koło południa stoją gdzieś tam niewielkie grupy potencjalnych demonstrantów – głównie działacze komunistycznych. Nie istnieje możliwość zebrania się w podobne grupy dla młodzieży, ponieważ ubrani w cywilne ubrania pracownicy policji przeganiają nawet pojedyncze jednostki. Przechadzam się po okolicy, a gdy ponownie wracam w umówione miejsce, znajduję tłum, skandujący antyrządowe hasła.

Mimo chwilowego oniemienia na niezwykle przyzwolenie służb porządkowych, staram się wejść wśród ludzi tak, by rozpocząć nagrywanie tego swoistego widowiska. Są tam młodzi i starsi, chłopcy i dziewczęta, ubrani po europejsku, a także w muzułmańskie hidżaby, barwy reggae i charakterystyczne palestyńskie chusty – cały przekrój tego, czym jest obecnie

Tunezja. Głosy wykrzykujące postulaty zdradzają poruszenie. Oto pierwszy raz można wyrazić to, co myśli się naprawdę. Ich entuzjazm porywa mnie od razu i słyszę własny głos, gdy śpiewam „Namoutou, namoutou wa yahya el watan!” (tłum. „Umrzemy, umrzemy, a Ojczyzna będzie żyć!”). Ktoś krzyczy „Tounes hourra!” (tłum. „Wolna Tunezja!”) i ludzie zaczynają posuwać się naprzód.

Jednak policja nie może zgodzić się na podobny manewr ze strony demonstrujących. Ruch uliczny został całkowicie zatrzymany. Ludzie czekają w tramwajach i autobusach na możliwość przejazdu i są świadomi zamieszania w centrum. Zbyt wielu wie o tym, dlatego służby zaczynają działać. Z pobliskiego autobusu wysiada grupa odpowiednio uzbrojonych policjantów, których zadaniem jest zakończenie tej, jeszcze nie rozpoczętej na dobre, demonstracji.

Tłum napiera, ale funkcjonariusze wyciągnęli już wnioski z poprzednich wystąpień. Starają się podzielić protestujących na małe grupy, by tłum stracił na sile. Stopniowo odnoszą sukces i ludzie zaczynają się rozbiegać pod wpływem uderzeń pałek i łapanek ze strony służb specjalnych.

Przestaję nagrywać i odchodzę na bok. Próbuję znaleźć bezpieczne miejsce, w którym ponownie włączę kamerę. Wydaje mi się, że znalazłam takie – wchodzę do pobliskiej kawiarni. Chcę wyjść na należący do niej ogródek, ale jeden z kelnerów wciąga mnie z powrotem. Jestem jedną z ostatnich osób, które kryją się w jej wnętrzu, bowiem drzwi zostają zamknięte.

Tymczasem policja rozgromiła demonstrantów i jedyne, co pozostało, to chwytanie tych najbardziej niepokornych. Grupa uciekającej młodzieży otwiera kawiarnię siłą, zaś za nią wbiegają funkcjonariusze. Na moich oczach odbywa się bicie i przepytывanie. Młodzi ludzie zostają usunięci stamtąd siłą, natomiast policjanci rozglądają się za kolejnymi ofiarami.

Stoję zadziwiona tą przemocą, aż nagle ktoś popycha mnie w

stronę kasy i resztkami świadomości wyszukuję kilka dinarów, aby kupić puszkę Coli. Znajduję miejsce przy stoliku i opadam na krzesło. Wokół mnie trwają przepychanki – niektórzy chcą skryć się w kawiarni, inni chcieliby wyjść i uciec w bezpieczniejsze miejsce. Rozważam oba rozwiązania i żadne z nich nie wydaje mi się dostatecznie dobre, dlatego też trwam w bezruchu i oglądam wszystko zza ciemnych okularów. Jestem pewna, że moja twarz wyraża udawane znudzenie podobnie, jak twarze pozostałych klientów.

Po jakimś czasie decyduję się na wyjście i jakie jest moje zdziwienie, gdy widzę ulicę, żyjącą własnym, niezachwianym rytmem. Jakby nic się nie wydarzyło, ludzie biegną w pośpiechu na przystanek tramwajowy, zatrzymują taksówki, kupują wodę. Gdy idę w stronę mieszkania znajomego, tylko raz spotykam wzrok młodego człowieka, który stoi przy barierce. Jego twarz nie wyraża nic określonego, jedynie oczy przemawiają. Można dojrzeć w nich mieszankę uczuć – zachwyt powiązany z niezdecydowaniem co, do następnego ruchu. Prawdopodobnie ta paraliżująca niemożność do podjęcia decyzji nie pozwala mu opuścić zajmowane miejsce i obrać konkretny kierunek. Może chce zostać jak najdłużej w miejscu, gdzie stało się coś, co nie miało miejsca w Tunezji za jego dwudziestoparoletniego życia.

Po kilku dniach prezydent przemawia ponownie. Odblokowuje kilka stron internetowych, w tym dotychczas zakazany YouTube. Obiecuje utworzenie 300 tysięcy miejsc pracy w ciągu roku oraz obniżenie cen kilku podstawowych produktów żywnościowych. Planuje rozpisanie wyborów w ciągu następnych 6 miesięcy. Żaden z obywateli tunezyjskich, z którymi rozmawiam po wygłoszeniu mowy, nie wierzy w dane obietnice.

Późniejsze wypadki rozwijają się w niezwykłym tempie, głównie z powodu demonstracji w kolejnych miastach, które do tej chwili nie powstały. 11 stycznia wojsko obejmuje swoją kontrolą Tunis. 12 stycznia zostaje wprowadzona godzina policyjna. 13 stycznia prezydent znowu zwraca się do

Tunezyjczyków, jednak tym razem w dialekcie kraju, co ma oznaczać chęć porozumienia się z własnymi obywatelami. Prosi o zachowanie spokoju i obiecuje zezwolenie na pokojowe demonstracje i zakaz stosowania siły ze strony policji. 14 stycznia zostaje zamknięta przestrzeń powietrzna nad krajem z powodu niestabilnej sytuacji.

Tego dnia zachęceni ludzie wychodzą na ulice stolicy. Główna ulica Tunisu, Aleja Habiba Bourguiby, zostaje zalana przez tłum. Żadna siła nie byłaby w stanie powstrzymać demonstrujących i nikt nawet tego nie próbuje. Głoszone hasła są jawne i objawiają długo skrywaną frustrację z powodu braku możliwości wyrażania własnych myśli. Wymagamy, by prezydent podał się do dymisji, a wraz z nim cały rząd. Chcemy demokratycznych wyborów i wolności słowa.

Dzień później świat arabski obiega wiadomość, że tunezyjski prezydent opuścił kraj. Pod libijską ochroną udaje się najpierw na Maltę, następnie próbuje dostać się do Francji, lecz odmawia mu się zezwolenia na lądowanie. Republika Francuska nie może pozwolić sobie na tego typu gościa, ponieważ również tam wrze od tygodni ze względu na obecność mieszkańców pochodzących z Maghrebu. Ostatecznie znajduje schronienie w Arabii Saudyjskiej.

Do dnia dzisiejszego w Tunezji obowiązuje godzina policyjna z niewielkimi wyjątkami dla osób, które pracują nocą. Do dziś można usłyszeć wymianę ognia w różnych częściach Tunisu. Codziennie odbywają się protesty przeciw pozostaniu u władzy znienawidzonej partii dotychczasowego prezydenta. Narastającej od lat frustracji daje się upust w sposób zupełnie niekontrolowany. Każdy wyraża swoje niezadowolenie, krzycząc wymyślone przez siebie hasła, podnosząc w górę transparenty, niszcząc mienie rodziny, która rządziła Tunezją przez 23 lata. Wszyscy próbują przekonać resztę do swoich racji – począwszy od wysoko postawionych polityków ze wszelkich ugrupowań, a skończywszy na przesiadujących według zwyczaju w kawiarniach mężczyzn. Nagle każdy chce zabrać głos, tak długo mu

odbierany, nie zważając na to, że inni mówią w tym samym czasie. W tej kakofonii głosów nie spostrzega się przekonań innych – liczy się tylko to, co dany człowiek ma do przekazania. Ścierają się ze sobą przeciwstawne i często nie mające prawa do współistnienia poglądy na nowe państwo – od pełnej sekularyzacji do państwa wyznaniowego.

Od początkowego stanu chaosu niewiele zmieniło się do dnia dzisiejszego. Twierdzi się, że jest za wcześnie na poważne decyzje; że trzeba ochłonać po ostatnich wydarzeniach i dać ludziom czas; że nie można oczekiwać ustanowienia nowego porządku w tak szybkim tempie.

Prawdą jest, że uliczne demonstracje nie ustają choćby na jeden dzień. Ciągłe rotacje i przepychanki w rządzie nie pomagają w ustaleniu konkretnego planu chociażby na najbliższą przyszłość. Występują akty wandalizmu i morderstwa niewinnych ludzi, lecz panująca tam teoria mówi, że takich ofiar nie da się uniknąć.

Niezaprzeczalny jest tylko fakt, iż Tunezyjczycy dokonali historycznego czynu. Uwolnili swoją ojczyznę od dyktatora jedynie za pomocą determinacji narodu, dając tym samym nadzieję i impuls do powstań w pozostałych krajach arabskich. Ten niewielki kraj stał się wielki dla zwykłych ludzi z sąsiednich państw. Bowiem rozpoczął coś, co będzie trwało, aż narody arabskie wywalczą wolność, a tym samym odzyskają godność, której tak długo im odmawiano.

Autor: Alicja Adala

Źródło: [Arabia](#)